

-2



PLAZACIEMNIA

SPIS

wywiad

BYĆ JAK JOHANNES SCHEFFLER

Rozmowa z Robertem Gawłowskim o projekcie poetyckim Boskie światło i o Angelusie Silesiusie 3

wiersze

MARCIN JARYCH: Fabryki fabryk; ***gdzieś...; ***A we śnie...; W piwnicy; Z dawnej epoki 14

IZABELA MORSKA: gra; krzyż czy mandala; i wymodliła sobie 17

MISZA SAGI: lato jest zwietrzałą butelką; c'mon barbie let's go party; problem z byciem szybszym niż światło jest taki że możesz żyć tylko w ciemności 20

proza

ANNA DWOJNYCH: ŚNIEG 23

OLIWIA PARZYŃSKA: KRÓTKIE FORMY PROZĄ 26

ZBIGNIEW PISUŁA: BUDOWLANIEC VS SPRZĄTACZKA 29

KUBA PODLEWSKI: OKULARY; BURZA; KWESTIA PALENIA SZISZY 32

EMILIA SĄSIADK: NIEBIESKA KARTA DLA OBU OSÓB BOSKICH 36

KRZYSZTOF SOWA: 48K VS 96K VS 192K 38

z archiwów

JACEK ŻEBROWSKI: NIE MA GWIAZD W DŻUNGLI 44

BYĆ JAK JOHANNES SCHEFFLER

Rozmowa z wrocławskim poetą, redaktorem i dziennikarzem Robertem Gawłowskim o projekcie poetyckim Boskie światło i o Angelusie Silesiusie

ZAGINIONY RAPTULARZ

Marcin Czerwiński: Powiedz proszę, kiedy po raz pierwszy przyszło ci na myśl, by stworzyć, a właściwie sfingować raptularz Ślązaka. Inaczej mówiąc: jak narodził się pomysł na ten jego dziennik poetycki?

Robert Gawłowski: Zaczęło się bardzo dawno temu. Jako pierwszy Angelusem Silesiusem zainteresował mnie wrocławski poeta i tłumacz Bernard Antochewicz. Na przełomie lat 80. i 90. ubiegłego stulecia kilka razy byłem u niego w domu jako tak zwany „młody poeta”. Czytał mi swoje przekłady z Anioła Ślązaka. Potem ukazał się wybór wierszy Silesiusa w jego przekładzie. To był już rok 1992, a książka ukazała się w prowadzonej przez Gabriela Leonarda Kamińskiego Rękodzielni Arhat. Wówczas pracowałem w Radiu Wrocław i pojechałem do niego na nagranie. Nie pamiętam, czy powstała z tego osobna audycja, czy też nasza rozmowa została włączona do radiowego tygodnika literacko-muzycznego „Obecność”, który przygotowywałem wspólnie z Lotharem Herbstem i Romkiem Kołakowskim. Ale to na pewno Antochewicz zapoczątkował moją przygodę z Angelusem

Silesiusem. Było to już po realizacji przez Teatr Polskiego Radia mojej sztuki o Edycie Stein zatytułowanej Droga w ciemności. Bernard Antochewicz też był tym bardzo zainteresowany. Pamiętam, że mi się wtedy bardzo żalił na trudy i obojętność wydawców, którym Silesius był zupełnie obcy i pewnie kompletnie nieznany. Potem ten temat co jakiś czas do mnie wracał, myślałem nawet o słuchowisku radiowym na podstawie Cherubinowego wędrowca. Namawiał mnie do tego Jerzy Prokopiuk podczas nagrań w studiu radiowym przy Karkonoskiej, ale wtedy zajmowaliśmy się czym innym, bo ezoterycznymi korzeniami niemieckiego nazizmu. Przez wiele lat jednak czytałem pojawiające się nowe przekłady z Silesiusa, jakieś opracowania, a w dobie internetu zacząłem robić sobie kwerendy, zbierać materiały, zapisywać w komputerze pliki. To się zbierało we mnie latami. Natomiast pomysł Boskiego światła pojawił się jakieś półtora roku przed pandemią. Postanowiłem wziąć udział w konkursie na stypendium Samorządu Wrocławia na rok 2021. A gdy je zdobyłem, zabrałem się do systematycznej pracy. Poruszyło mnie jedno zdanie z mowy nad trumną Silesiusa, jaką w 1677 roku wygłosił jezuita Daniel Schwarz. Zdanie to mówiło o raptularzu Silesiusa, który zakonnik miał w rękę, a którego – od tamtej pory – chyba nikt już nigdy na oczy nie ujrzał. I tak narodził się pomysł napisania takiego poetyckiego raptularza niby ręką, umysłem i sercem samego Silesiusa.

Zastanawiam się, na ile istotny jest dla ciebie proces, który nazwałbym przeistaczaniem. W roku 1992 premierę miała twoja Droga w ciemności, o której wspomniłeś, eksplorująca mentalny świat Edyty Stein. Sześć lat później wydałeś natomiast książkę poetycką Georg – ostatnie chwile, ostatnie błyski, którą bardzo mocno wkraczałeś w świadomość innego poety, Georga Trakla. Teraz znów jako poeta przeistaczasz się niejako w Silesiusa...

To trafne spostrzeżenie i cieszę się, że ten temat poruszasz. Jak wiesz, figurą osoby lirycznej posłużyłem się w książce poetyckiej Marko Polo, po czterdziestu latach zdarzyło się to znów w zbiorze Peregryn. Co innego jednak mówić „ty”, a co innego mówić sobą jako innym „ja”, tym bardziej, jeśli owo „ja” na tym świecie żyło, ma swoją biografię, którą znamy, albo której dobrze poznać niepodobna, bo czas zatartł tropy i ślady, bo brakuje nam wiedzy o faktach, ludziach, zdarzeniach i możliwe, że już nigdy więcej się nie dowiemy.

WGLĄDY I GŁOSY

W przypadku przywołanej sztuki teatralnej o Edycie Stein, która miała dość dobrą recepcję w Polsce i Niemczech (realizacje radiowe, teatralne i choćby dwa przekłady na niemiecki – Jerzego Łukosza i Elisabeth Schoeller), była to kwestia scenicznej budowy wielu postaci, bo przecież nie tylko Edyty Stein i jej rodzonej siostry Róży, czy ich matki, ale też innych osób, na przykład filozofów – Edmunda Husserla i Adolfa Reinacha. W spektaklu jednak owo, jak powiadasz, przeistoczenie, odbywało się niejako pośrednio, bowiem rzecz zaczynała się Prologiem, czyli próbą czwórki aktorów, którzy rozmawiają o tym procesie wchodzenia w Drugą/Drugiego, mówienia i bycia Drugą/Drugim. Na ile to w ogóle możliwe i bliskie jakiejś psychologicznej prawdy o osobie, o konkretnych okolicznościach, także tych historycznych. Przypomnę, że akcja tego dramatu toczy się między 2 a 7 sierpnia 1942 roku na terenie okupowanej Holandii, Niemiec, okupowanych Czech i Polski. Jest to czas między jedną a drugą niedzielą. Dokładnie siedem dni drogi siostr Edyty i Róży Stein do komory gazowej w obozie Auschwitz-Birkenau. Niemniej jednak, relacja między autorem a stwarzaną czy odtwarzaną przezeń postacią jest dla mnie wciąż wielką zagadką, więcej, tajemnicą. Sam nie bardzo rozumiem, jak się to przedzierzanie w Inną/Innego odbywa.

Za każdym razem było to i nadal jest dla mnie najpierw jakieś ogromne stężenie wyobraźni. Potem przychodzą próby wejrzeń i – jakby powiedział Bert Hellinger – wglądów. No i wreszcie ten, najbardziej niepojęty, stan graniczny, kiedy słyszysz Ją/Jego w sobie i kiedy Ona/On zaczyna tobą mówić.

Tak też, podobnie i niepodobnie, było w przypadku poematu o Georgu Traklu, gdzie mówi i On, gdzie mówi też Jego Alter Ego, gdzie te dwa głosy ze sobą dialogują, a równocześnie i do Jednego, i do Drugiego docierają także głosy z zewnątrz, głosy innych, które częstą ranią, zadają ból, ale nie na tym koniec, bo są przez bohatera/bohaterów niemal masochistycznie powtarzane, rezonują, wywołują jakiś, gmatwający się, wewnętrzny dyskurs. Zanim więc usłyszałem w sobie głos Angelusa Silesiusa, były choćby te dwa doświadczenia, których wspomnienie przed chwilą we mnie wywołałeś.

To ciekawe, że wcześniej pojawia się forma dramatyczna – myślę o sztuce poświęconej Edycie Stein. A to dlatego, że Boskie światło jako tom poetycki zapożycza część struktury od dramatu: mamy tutaj prolog, epilog, a także osoby dramatu – jak piszesz: *dramatis personae*. Czy ta teatralizacja stanowi rodzaj swoistego konceptu – temat jest przecież barokowy – czy też osoby dramatu rzeczywiście uzyskują swój autonomiczny głos w tekście poetyckim?

Istotnie, konstrukcja książki nawiązuje do budowy dramatu antycznego. Podkreślam jednak, że chodzi wyłącznie o konstrukcję całej książki, na którą składają się tekst domniemanego raptularza poetyckiego Angelusa Silesiusa oraz tzw. odautorskie dodatki. Posłużyłem się tu jednak wyłącznie onomastyką – prolog, commentaria, calendarium vitae, *dramatis personae*, epilog. Moją intencją było stworzenie pewnego tekstowego klimatu wokół cyklu ponad 90 wierszy. Ważne są też incipity (tzw. przedślowie i posłowie), ponieważ rzecz poetycka zaczyna się i kończy krótkimi cytatai wyjętymi z dzieła Silesiusa, co oczywiście wyraźnie zaznaczam i oddzielam od swojego tekstu. Ta – jak powiadasz – „teatralizacja” odbywa się zatem także na zewnątrz wierszy. Oczywiście „teatralizacją” jest każdy wiersz. Od początku do końca „mówię Silesiusem”. Kreacją jest zatem sama konstrukcja lirycznego „ja”. Teatralizacji wymagało konstytuowanie jego osobowości w wierszu. Mówiąc najprościej, tak jak aktor, musiałem za każdym razem wchodzić w rolę Johanna Schefflera – Angelusa Silesiusa. I, doprawdy, sam nie wiem, jak to się działo.

A może było odwrotnie? Może to on „wchodził” we mnie i mną mówił? To nie kokieteria. Doznawałem bowiem jakichś niepojętych stanów, gdy „to” mówiło we mnie, a potem mną pisało. Czyli nie było wykoncypowane, wcześniej obmyślane. Choć, oczywiście, potem przychodził czas takiej rzemieślniczej „obróbki” wiersza, ustalania miejsca danego utworu w całości, która – tak sobie to założyłem od początku pracy – miała zachować chronologiczny porządek żywota głównego bohatera. Zatem jakiś ogólny koncept od początku był. Gdybym się go jednak kurczowo trzymał, pewnie napisałbym takie wiersze-wypracowania, a to przecież żadna frajda czy przygoda. Jeśli zaś chodzi o „osoby dramatu”, to głosu udziela im tylko mówiący w

tych wierszach „mój” Silesius. A nawet nie tyle udziela, ile przywołuje jakieś-czyjeś głosy, jakby dobywał ich już tylko ze swojej pamięci.

Boskie Światło to kolosalny projekt literacki: 240 stron, na które składa się prawie setka wierszy, do tego dochodzi olbrzymia aparatura przypisów i wyjaśnień i potężna bibliografia. Oprócz tego tłumaczenia całości na język czeski i niemiecki, jak rozumieniem dokonane we współpracy czy przynajmniej w konsultacji z tobą. Widać po tym, że nie jest to tylko książka poetycka, nie są to tylko pastisze Anioła Ślązaka, ale też zakrojona na szeroką skalę rekonstrukcja historyczna, kulturowa, religijna. Jak długi czas zajęła ci praca nad tym projektem, bo przecież równocześnie pracowałeś cały czas zawodowo... Interesuje mnie, jaki miałeś system pracy?

Było kilka etapów tej pracy. Najpierw, przez wiele, wiele lat – przede wszystkim – czytałem polskie przekłady Silesiusa. Śledziłem to, co się ukazywało. Była to jeszcze taka okazjonalna, nieregularna lektura. Gromadziłem, co się dało w komputerze i na zewnętrznych dyskach, ale nie myślałem jeszcze o jakimkolwiek własnym, tym bardziej poetyckim projekcie. Potem pojawiły się pierwsze przymiarki i myślenie: „a co, gdyby tak spróbować...”. Wreszcie zacząłem podchodzić do tych pomysłów coraz bardziej serio. A im bardziej serio, tym więcej lektury i internetowych kwerend, studiowanie tzw. fachowej literatury przedmiotu. Ustalanie tego, co wiemy o Schefflerze/ Silesiusie na pewno, a co jest tylko przypuszczeniem, gdzie są luki, jakie źródła historyczne się zachowały, jakie były, ale zaginęły, gdzie ich ewentualnie szukać, i tak dalej, i tak dalej.

OD URANII DO NASA

A zatem istnieją luki w jego biografii... Doszedłeś tu do jakichś odkryć?

Nie zawsze były to odkrycia w dosłownym tego słowa znaczeniu, ale... Skojarzyłem na przykład, że kiedy Johannes Scheffler był lekarzem nadwornym w Oleśnicy, dokładnie w tym czasie w tamtejszej oficynie Johanna Seyfferta wydrukowano dzieło życia wielkiej śląskiej astronomki Marii Cunitz Urania Propitia, Sive Tabula

Astronomica mire faciles („Łaskawa / Życzliwa Urania, czyli astronomia przybliżona czytelnikowi”). Księga ta, choćby z racji cenzury książęcej, musiała się znaleźć na oleśnickim dworze i nie jest wykluczone, że żywo zainteresowani astronomią i astrologią Johannes Scheffler oraz jego duchowy przewodnik Abraham von Franckenberg, wcześniej współpracownik Jana Heweliusza w Gdańsk, musieli tę księgę przynajmniej przeglądać. A była to rzecz niebagatelna. Dość powiedzieć, że dokonania Marii Cunitz okazały się kluczowe, gdyż astronomii keplerowskiej uczono nie tyle z dzieł Keplera, co właśnie z jej łacińskiego i niemieckojęzycznego opracowania. Podzielone na 23 rozdziały i poprawione przez Cunitz tablice astronomiczne Keplera, tworzą wielkie dzieło liczące ponad 500 stron.

I wcale nie odeszło ono do lamusa, a przeciwnie, nadal posługuje się nim NASA. Jeśli więc, na przykład, przyjrzeć się dokładniej notatkom, jakie Johannes Scheffler czynił na marginesach opastej, uczonej książki medycznej Paracelsusa, która znajduje się w zbiorach specjalnych Biblioteki Głównej Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu, to nie sposób nie zauważyć, że przyszły Angelus Silesius całkiem nieźle radził sobie z ówczesną astronomią, co miało niewątpliwie wpływ na jego postrzeganie sensu istnienia i postrzeganie praw boskich.

CAŁKIEM DOBRZE CHWYTA

Przy pracy nad Boskim światłem skontaktowałeś się też z badaczami spuścizny Silesiusa...

Udało mi się nawiązać cenne, osobiste kontakty z badaczami, znawcami i tłumaczami utworów Silesiusa na język polski. Potem przyszedł rok 2020 – czas pandemii i zostaliśmy zamknięci w swoich domach. Pracowałem zdalnie, nie traciłem czasu na dojazdy do pracy. Podczas wakacji 2020 przygotowałem wniosek o roczne stypendium Samorządu Wrocławia. Złożyłem go i czekałem na werdykt. A gdy się okazało, że mój projekt otrzymał aprobatę, zabrałem się już bardzo intensywnie do pracy. Od początku wiedziałem, że faktycznie powinna to być wielowymiarowa rekonstrukcja historyczna, tak w obrębie samego tekstu poetyckiego, jak i w obszarze dodatków i objaśnień, o których wspominałem wcześniej. Najpierw jednak powstało wiele, ponad 140 wierszy, z których do książki weszło 91. W selekcji

utworów bardzo pomógł mi wieluński poeta Maciej Bieszczad, z którym odbywaliśmy częste spotkania online, bo tylko takie były możliwe. Po zakończeniu tego etapu zrobiłem sobie kilkutygodniową przerwę, w trakcie której – poniekąd dla psychicznego odpoczynku – napisałem wydaną niedawno powieść poetycką *Peregryn*. Dopowiedziałem jeszcze, że równolegle i jakby zupełnie autonomicznie od pracy nad Boskim światłem powstawały wiersze do wydanego w październiku 2021 roku obszernego zbioru wierszy *Życie wieczne*. A w tym wszystkim – pamiętaj – praca zawodowa! Bez taryfy ulgowej ze względu na pandemię, na przykład z koniecznością sporządzania codziennych raportów z wykonanych zadań.

Tak więc, z końcem wiosny 2021 roku zasiadłem do pisania objaśnień i komentarzy, kalendarium życia Angelusa Silesiusa, słownika postaci, wreszcie odautorskiego wstępu oraz postłowa. Był to czas już na prawdę głębokich i wnikliwych studiów. Bardzo pomagali mi swoimi radami oraz wskazówkami wybitni znawcy dzieła Silesiusa – profesor Cezary Lipiński z Uniwersytetu Zielonogórskiego i doktor Piotr Wiktor Lorkowski z Sopotu. Wiersze-jaskółki tej książki opublikowałem dość szybko na łamach „Toposu”, „Śląska” i „Almanachu Prowincjonalnego”. Był to swoisty test, jak rzecz zostanie przyjęta. Miałem, co oczywiste, bardzo wiele obaw. Acz, okazało się, że ten mój „Silesius”, jak to mówią, całkiem dobrze „chwytą”. A dalej? Zgodnie z umową stypendialną rzecz była skończona już w grudniu 2021 roku, a z początkiem roku 2022 trafiła do tłumaczy profesorów Edwarda Białka (język niemiecki) i profesora Libora Martinka (język czeski), bo wydawca tej książki Ryszard Sławczyński, który prowadzi Oficynę Wydawniczą Akwedukt przy wrocławskim Klubie Muzyki i Literatury, zaproponował od razu przygotowanie tomu trójjęzycznego.

MÄNTLER GASSE

W epilogu piszesz, że przemieszczasz się śladami Silesiusa po Dolnym Śląsku. Chciałbym zapytać o swoistą geopoetykę: czy miejsca, lokalizacje, które odwiedzałeś, jeśli faktycznie je odwiedzałeś i nie była to tylko podróż wyobraźni, czy były one źródłem dla powstania poszczególnych wierszy? I czy zdarzyło się tu coś ciekawego, to znaczy, czy odkryłeś np. podróżując pewne detale

architektoniczne, ślady, widoki, od których wzięty swój początek teksty?

Ciekawe jest chyba to, że przez cały okres studiów na wrocławskiej polonistyce, które zacząłem w 1976 roku, czyli prawie 300 lat po śmierci Silesiusa, nieustannie, choć początkowo zupełnie bezwiednie, dreptałem jego śladami – plac Nankiera, ulice Grodzka i Szewska z Biblioteką Ossolineum, gdzie pierwotnie znajdował się klasztor Krzyżowców z Czerwoną Gwiazdą, a gdzie w 1652 Johannes Scheffler został lekarzem. Tuż obok kościoła pod wezwaniem świętego Macieja, gdzie (12 czerwca 1653 roku) przeszedł na katolicyzm i gdzie też został pochowany po śmierci. A nieopodal ulica Krawiecka, za jego czasów Mäntler Gasse, gdzie najprawdopodobniej 400 lat temu przyszedł na świat i gdzie stał jego rodzinny dom. Nieopodal – kościół Marii Magdaleny między ulicami Szewską i Łaciarską w pobliżu Rynku, gdzie został ochrzczony 25 grudnia 1624 roku. Wreszcie, słynne ewangelickie Gimnazjum świętej Elżbiety (dziś przy ulicy jej imienia), gdzie nie tylko pobierał nauki, ale też pisał swoje pierwsze utwory poetyckie. Potem w życiu młodego Johannes Schefflera były trzy ważne europejskie uniwersytety – w Strasburgu, Lejdzie i Padwie. Ale żadnego z tych miast nie odwiedziłem bezpośrednio. Choć bardzo chciałem i miałem nawet pewne możliwości – to w czasie obostrzeń pandemicznych było to zupełnie niemożliwe.

Od czego jednak jest internet? Uprawiałem więc fascynujące peregrynacje online. Oglądałem filmy, fotografie i starodruki, ryciny, czytałem, notowałem. I może nawet zobaczyłem i dowiedziałem się więcej niż podczas realnej podróży. Wędrowałem natomiast z ochotą do miejsc bliskich i dobrze mi znanych, jak Oleśnica, Nysa, Bierutów, Krzeszów, Lubiąż, Sobótka, Ślęza i wieś Ręków u jej podnóża. Nie chcę się rozgadywać, ale każda z tych miejscowości, każde z miejsc było ogromnie ważne. Już to ze względu na konkretne zajęcia i dzieła Silesiusa, już to ze względu na ważne zdarzenia z jego życia, a także na osoby, z którymi się stykał i które miały wpływ na jego losy oraz na kształt tego, co po sobie pozostawił. Tak, i pejzaż, i widoki, i usytuowanie topograficzne, i architektura, detale i ślady – wszystko to było ogromnie ważne i inspirujące. Muszę też koniecznie wspomnieć o wędrownkach po zasobach cyfrowych wielu bibliotek i archiwów rozsianych po całym świecie. Digitalizacja zbiorów piśmienniczych

to rzecz wspaniała. Szybkość, z jaką możemy dziś docierać do unikalnych rękopisów, starodruków, rycin, opracowań; wsparcie elektronicznych translatorów, bo musiałem tłumaczyć sobie teksty pisane w wielu różnych językach; możliwość kontaktu za pomocą poczty elektronicznej z autorkami i autorami prac – były niebywale pomocne, zwłaszcza gdy pisałem wspomniane objaśnienia i komentarze do wierszy. Przy okazji niejako dokonałem kilku – myślę – ważnych odkryć.

POETKA ELISABETH I ZAKON KWIATÓW

Jestem bardzo ciekawy. Powiesz coś więcej? W naszej wcześniejszej rozmowie wspominałeś bodajże o ówczesnych poetkach śląskich... Czy to o nie chodzi?

Miałem na myśli jedną poetkę śląską tamtego czasu. Nazywała się Elisabeth von Senitz i była prawie rówieśnicą Angelusa Silesiusa, którego musiała poznać osobiście na zamku w Oleśnicy. W tym samym czasie bowiem, gdy Johannes Scheffler był nadwornym medykiem księcia Sylwiusza Nimroda Wirtemberskiego, ona była damą dworu jego żony – księżnej Elżbiety Marii. Być może pobierała nawet u Silesiusa pierwsze poetyckie lekcje. Nie jest to przypuszczenie bezpodstawne, bowiem jej pieśni religijne były przypisywane często autorowi Cherubinowego wędrowca, a hymn O, du Liebe, meiner Liebe to do dziś chętnie śpiewana pieśń luterańska, do której muzykę skomponował Johann Sebastian Bach. To moje odkrycie sprzed kilku lat potwierdziła, jak się okazało, profesor Mirosława Czarnecka z wrocławskiej germanistyki w pracy Strach, śmiech i łzy. Dyskursy antropologiczne w literaturze (nie tylko) śląskiego baroku. Przyznam, że wcześniej nie znałem tej książki. Wyobrażasz sobie zatem, co musiałem czuć, gdy się okazało, że Elisabeth von Senitz w swoim cyklu Andächtige Kreutz-Gedancken bei dem Kreutz Christi (Pobożne przemyślenia pod krzyżem Chrystusa) realizuje estetyczny program duchowego petrarkizmu, sformułowany przez Johannesa Schefflera we wstępie do Heilige Seelen-Lust Oder Geistliche Hirten-Lieder (Święta radość duszy albo duchowe pieśni pasterskie) z 1657 roku.

Moje nieśmiałe przypuszczenia potwierdziła wybitna badaczka i znawczyni literatury niemieckiego baroku, która szczególnie

podobieństwa dostrzega w obrazowaniu postaci Ukrzyżowanego u obojga poetów. Jak trafiłem na Senitz, która od urodzenia była związana z Rękowem pod Sobótką? To przypadek, a może i Palec Boży, gdyż moja córka będąca w nauczaniu domowym zapisana została do Szkoły Podstawowej w Rękowie właśnie. Ponieważ w Rękowie bywaliśmy bardzo często, zaciekała nas historia tej miejscowości. I tak szperając w różnych opracowaniach trafiliśmy na Elizę von Senitz. A później się okazało, że na dworze w Oleśnicy panna von Senitz spotkała pewnego podróżnika, którego z wzajemnością pokochała i za którego zamierzała wyjść. Pastor dowiedział się jednak, że kandydat na męża ma już żonę. Narosły wokół sprawy skandal sprawił, że dziewczyna musiała opuścić dwór i wrócić do rodzinnego Rękowa, gdzie spędziła resztę życia. Jej obycie, doświadczenia i wrażliwość przełożyły się natomiast na poetycki sukces. Prowadziła korespondencję z wielkimi uczonymi, a nawet – jako jedna z 14 kobiet – została przyjęta do Pegnesischer Blumenorden (Pegnicki Zakon Kwiatów, jedyne stowarzyszenie literackie z okresu baroku istniejące do dziś), którego członkowie wybierali dla siebie nowe imiona i kwiaty-atrybuty. Znamienne, że poetka zdecydowała się wystąpić jako Celinda, nawiązując prawdopodobnie do bohaterki Andreasa Gryphiusa wpisującej się w literacki wzorzec nieszczęśliwej kochanki. Jej kwiatem został natomiast jaśmin.

Historia Elizabeth von Senitz brzmi wręcz filmowo. Orientujesz się, gdzie aktualnie działa Zakon Kwiatów i kto do niego należy?

Z tego, co wiem, poetki i poeci niemieccy tworzący w naszych czasach nadal spotykają się w gaju Irrhain, położonym w pobliżu Kraftshof (Kraftshofer Forst) niedaleko Norymbergi. Pierwotnie był to las przypominający labirynt. Każdego roku w maju odbywa się tu między innymi „Irrhainfest” i konkurs poetycki o „Złotą Doniczkę”. Ponadto obszar ten jest zawsze otwarty i chętnie odwiedzany przez turystów. Obok poezji często słychać tam również muzykę. Nie tak dawno w Irrhain koncertował na przykład Nürnberg Accordion Ensemble, wirtuozowski sekstet akordeonowy pod dyktando Marco Röttiga. Pegnicki Zakon Kwiatów wydaje też rocznik literacki „Blattwerk”. A jak informuje redakcja tego periodyku, pismo publikuje teksty autorek i autorów z całego obszaru niemieckojęzycznego, od Henstedt-Ulzburg na północ od Hamburga przez Hanower do Klagenfurtu, od Wuppertalu

do Mantel w Górnym Palatynacie, a także z obszaru frankońskiego od Rückersdorf, Cadolzburg i Mosbach – ale oczywiście także z Norymbergi, czyli miasta, w którym powstał i działa Zakon Kwiatów. Trudno wymienić mi konkretne nazwiska, bo od 1644 roku przez Zakon przewinęło się 1811 wybitnych postaci, a dość powiedzieć, że od początku XX wieku do chwili obecnej było ich ponad 800. Tylko w tym stuleciu do tego towarzystwa dołączyło ponad sto nowych osób. To nie tylko poetki czy poeci, ale też wybitni literaturoznawcy, językoznawcy, przedstawicielki i przedstawiciele różnych innych dziedzin nauki, także wybitne osobistości życia kulturalnego i politycznego.

Masz coś jeszcze w zanadrzu?

Nie chciałbym zdradzać wszystkiego. Ale, niejako z marszu, przystąpiłem do pracy nad esejem historyczno-literackim zatytułowanym Tajemnice Silesiusa, co zajęło mi ostatnie dwa lata. I, wierz mi, warto było... Ale o tym opowiem może innym razem.

Dziękuję ci za rozmowę i życzę nadal tak owocnych etapów obcowania z Angelusem.

Rozmawiał Marcin Czerwiński

Robert Gawłowski

ur. 1957, absolwent wrocławskiej polonistyki, poeta, prozaik, krytyk literacki, dramaturg, scenarzysta, autor audycji i słuchowisk radiowych, w przeszłości związany z Polskim Radiem we Wrocławiu. Debiutował jako poeta w 1977 roku. Opublikował zbiory wierszy: „Nie ukrywajmy tego szaleństwa” (1983), „Ograniczony wybór” (1984), „Marko Polo szuka nowej drogi” (1984), „Marko Polo” (1987), „Podróż chroniczna” (1997), „Georg – ostatnie chwile, ostatnie błyski” (1998), „Pył” (2020), „Dotknięcie” (2020), „Wieża wiatrów” (2021), „Życie wieczne” (2022), „Peregryn” (2022), „Boskie światło” (2024), „Otium i inne wiersze rzymskie” (2024). Autor sztuki teatralnej o Edycie Stein pt. „Droga w ciemności” i zbioru opowiadań „Pan Świat” (2018). Wiersze, recenzje, szkice i eseje publikował w wielu czasopismach literackich w Polsce i za granicą. Współtwórca Międzynarodowego Forum Sztuk Akustycznych pro arte acustica MACROPHON (1991, 1994) i artystycznego Radia Copernicus (2005) – wyróżnienie honorowe światowego festiwalu sztuk multimedialnych Ars Electronica (2006). Laureat nagród: im. Stanisława Wyspiańskiego, Fundacji Kultury oraz „Feniksa”. Nominowany dwukrotnie do Nagrody Poetyckiej im. K.I. Gałczyńskiego „Orfeusz” za tomy wierszy „Pył” (2021) i „Peregryn” (2023). Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz do PEN Greece w Atenach.

MARCIN JARYCH

FABRYKI FABRYK; ***GDZIEŚ...; ***AWE ŚNIE...;
W PIWNICY; Z DAWNEJ EPOKI

Fabryki fabryk

Fabryki. Fabryki fabryk. Fala za falą.

Czyjeś wyjąłowane wyłowione ja.

Czyjeś wy(ja)łowane wyłowione ja
z ambientu szumu w wielkiej hali.
Fabryki fabryk. Fala za falą.

Czyjeś wyjąłowane wyłowione ja.

Czyjeś wyjąłowane wyłowione ja.
Roślina śliny, która długo wzbierała.

.

.

Gdzieś są te przedmioty i ślady zostawione wiele lat temu
 There are those tracks somewhere Odwracanie śniegu
 Odwracanie śniegu (w powidoku?)
 Ślady chyba nigdy nie były ukryte
 Odwracanie się przez sen w śniegu padającym w górę
 i w dół Ślady chyba nigdy nie zostały zasypane
 Ślady chyba nigdy nie zostały zamazane
 Idziemy po śniegu A sen leci w górę i w dół

.

.

W piwnicy

W piwnicy, w ziemi, czuć, jak Ziemia się kręci.

Krótkie sytuacje i kadry
 jakby z Tiktoka, ale z przeszłości.

Łopot na zewnątrz w okienku piwnicznym. Granica.
 (Ale tam też jest Ziemia). Ponoć tej nocy mają przyjść

mrozy niemal nie do przebycia (alarmowała telewizja).

Myśl jak z dzieciństwa: piwnica, iść nocą
 jej igliwiem, powiększonym jak w soczewce, ze strachu.

W piwnicy czuć, że noc przyjdzie. Być może stąd
 się ściemnia łukiem w stronę podwórka.

Łopot
 w okienku.
 Kadry, sytuacje
 jak krótkie filmy z Tiktoka. Ale są z pamięci.

Pieniądze sprzed denominacji.
Koło od roweru.
Wapno, węgiel, ślad.

.

.

A we śnie na początku widzieć niebo pełne śnieżyc,
śnieżnych kotłów. A sen we śnie wznosi się ku stońcu,
wystarczy odpalić nawigację. Podobno są miejsca,
gdzie nie ma żadnej inflacji.
A sen we śnie idzie Królewską, Łazienkowską.

.

.

Z dawnej epoki

W tym roku
śnieg spadł w taki sam sposób, jak w zeszłym roku.
To tak,

jakby się nic nie działo.

Pies bardzo szybko wbiegł na górkę
na podwórku,

jakby się nic nie działo,

toby nie wbiegł.

.

.

Marcin Jarych

finalista XXV Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Jacka Biereżina,
publikował w „Papierze Ściernym”, „Suburbiach”, „Tlenie Literackim”, „Waka-
cie”, „Wizjach”. Wkrótce ukaże się jego debiutancka książka poetycka. Jest
również malarzem i gitarzystą. Mieszka we Wrocławiu.

IZABELA MORSKA

GRA; KRZYŻ CZY MANDALA;
I WYMODLIŁA SOBIE

gra

przesuwam siebie na pole A5
wygrałam czerwoną różę
i nakręcanego słowika
przesuwam siebie na pole D3
wygrałam chińską zapałkę
przegrałam najmniejszy paznokieć
żarówka nad polem A2
oznacza niebezpieczeństwo
gram dalej przeczołgać się trzeba
już tylko pozostał mi korpus
B5 to odwrót księżycy
B7 to najdalsza gwiazda
tu dają podręczne planetarium
tam wydłubują mi oczy
E2 znad pośótkłej księgi
hiszpański karzeł się unosi

dalej już cień w korytarzu
 stłumionym oddechem noża
 C6 to Sąd Ostateczny
 tuż obok pułapka na muchy
 wybieram A3 i wygrywam
 niezawodny sposób na wygraną
 lecz nagle z planszy wyrwana
 i tylko punkciki wpatrzone
 jak oczy strzelca gdzieś za mną
 w przestrzeń wirowej tarczy

.

.

krzyż czy mandala

Tablica
 jest z najczarniejszego drewna
 na niej wrysowany okrąg – twarz
 na policzkach wykwitają statki
 oceany i mapy obcych lądów
 Wszystko
 jak z najpiękniejszego prospektu

.

.

i wymodliła sobie (gotowa do lotu)

*Kaprys nr 61: Volavérunt
 Francisco Goya*

Nasz dobry Pan Obłąd
 wygłosi nam dzisiaj kazanie
 wszyscy czekamy niecierpliwie
 na dobrego Pana Obłąd

w prywatnym czasie święta
nastawiamy zegarki
zamiatamy podłogę
przełączamy projektor

Nasz dobry Pan Obłąd
otwiera otwiera usta
krzyczy nasz lęk w czeluściach
dobrego Pana Obłąd

.

.

Izabela Morska

prozaiczka (Absolutna amnezja, 1995; Alma, 2003), poetka (Madame Intuita, 2002; 1983. Maszynopisy, 2023), kulturoznawczyni (Glorious Outlaws: Debt as a Tool in Contemporary Postcolonial Fiction, 2016), felietonistka portalu Gdańsk Miasto Literatury. Autorka dziennika z choroby Znikanie (2019). W 2018 roku otrzymała Nagrodę im. Juliana Tuwima za całokształt twórczości; w 2020 roku Pomorską Nagrodę Literacką. Mieszka w Gdańsku od 2013 roku. Wykłada konteksty historyczne i kulturowe literatury amerykańskiej w Instytucie Anglistyki i Amerykanistyki na Uniwersytecie Gdańskim.

MISZA SAGI

LATO JEST ZWIETRZAŁĄ BUTELKĄ; C'MON
BARBIE LET'S GO PARTY; PROBLEM Z BYCIEM
SZYBSZYM NIŻ ŚWIATŁO JEST TAKI ŻE MOŻESZ
ŻYĆ TYLKO W CIEMNOŚCI

lato jest zwietrzałą butelką

chcę zostawić jego resztkę
nigdy nie dopijać
spacer ku entropii
krawędzią urwiska

chwieją się palmy w sepii
tuna ognia na horyzoncie
zapisana w gifie pocztówce
z nieodbytych wakacji

gdy przychodzi fala uderzeniowa
valsawą wyrównuję ciśnienie w uszach
myśl jest funkcją oddechu
pozwalam się przenicować

kim chcesz zostać jak umrzesz?
parówką kindziukiem chorizo schabowym?
z psychotestu wyszła mi sopocka

.

.

**c'mon barbie let's go party
(death in rome cover)**

ta noc do innych niepodobna
choć gram na poziomie easy

nie walczę z bossami
nie górą a kanałami

jeśli pójdziemy to
wspólni lub niebyli

ominiemy te wiksy
gdzie nie mamy zaproszeń

znam fajniejsze zabawy
ukryte lootboxy
karty speszjale

jażń to nft z martwym linkiem

umysł sam sobie

skutkiem & przyczyną
początkiem & końcem

chwyć za jeden koniec pustki
ja chwycę za drugi

zrobimy z niej skakankę

.

.

**problem z byciem szybszym niż światło
jest taki że możesz żyć tylko w ciemności**

w odpowiednio bliskim kadrze
nie widać pożaru w tle
w odpowiednio dalekim
nie widać nas

właściwą windą
można zjechać dostatecznie nisko
ze wszystkich częstotliwości
zostają tylko basy

właściwymi schodami
można zejść do pokoiów
mieszczących cały kosmos
gdzie słychać biały szum

przyszłość przesunąć
jak krzesło by nie wadziła
położyć się na łóżku
wy płynąć na ocean

.

.

Misza Sagi

pracował w różnych miejscach, bujał się tu i ówdzie. Publikowany, ale wciąż debiutuje, coś tam kmini, kombinuje. Lubi sport (czynnie: tenis stołowy, biernie: sumo), muzykę (jakieś lofi/chill beats to relax/study to, doomer music vol., etc.), książki, podróże, ogólnie różne takie (takie).

ANNA DWOJNYCH

ŚNIEG

Zostałabym z T. dłużej, ale jego myśli coraz bardziej krążyły wokół wczesnej pobudki i kolejnego dnia pracy. Doszliśmy na przystanek, z którego miał odjeżdżać. Był to ostatni moment, żeby to, co przez ostatnie lata nie dawało mi spokoju, wyszło z dziury nazywanej pamięcią.

- Przez te kilka lat, które minęły od naszego spotkania, często myślałam o tamtym koncercie i powrocie z niego.
- Pamiętam je. Ten koncert i ten powrót.
- Właśnie: pamięć. Najdokładniej pamiętam, jak po wyjściu z klubu, kilkanaście metrów od budynku, stanęliśmy.
- Tak, zatrzymaliśmy się.
- Staliśmy pewien czas na chodniku, chociaż był koniec listopada i padał śnieg.
- Kojarzę, że to była zima.
- I późna godzina.
- Pewnie koło 23.00. Prawie noc.
- A więc noc. Staliśmy tam i staliśmy, ale nie daje mi spokoju jedna rzecz.
- Może ta sama, która nie daje spokoju mnie?

- Tobie też?
- Też.
- A więc skoro tam staliśmy, ktoś musiał stanąć pierwszy.
- Tak, ktoś zrobił to najpierw.
- Oczywiście później to było bez znaczenia, bo staliśmy tam oboje.
- Tak, chwilę to zajęło.
- Ale kto był pierwszy? Wydaje mi się, że ty.
- Bardzo prawdopodobne, że ja.
- Czyli to jednak ty?
- Jednak ja. Ale coś ci powiem.
- O tym, że staliśmy w śniegu?
- Tak.
- Więc od początku – był listopad, zimno, chociaż nam nie, dobrze się rozgrzaliśmy na koncercie.
- I sporo wypiliśmy.
- Tak, upiłam się, ale dość dobrze pamiętam to, co było po wyjściu.
- Powiem ci więc, że to zaczęło się jeszcze w klubie.
- W tym pubie?
- Nie pamiętasz tego?
- Nie. A wydawało mi się, że zapamiętałam z tamtego wieczoru tyle, ile wystarcza miejsca na dysku.

- Więc wszystko zaczęło się jeszcze w klubie.
 - Wtedy chyba siedzieliśmy?
 - Tak. Po koncercie, zanim wyszliśmy stać na śniegu, jeszcze trochę siedzieliśmy w środku.
 - Chyba mam flashbacki. Prawie wszyscy wyszli, a my siedzieliśmy w sali w półmroku. Tak?
 - Tak, doskonale.
 - Pamiętam tę salę. Przypominała mi puby, do których chodziłam jako nastolatka.
 - Ja nie mogłem mieć takich skojarzeń, bo jako nastolatek nigdzie nie wychodziłem.
 - Wtedy, na koncercie, byłem pod wpływem pewnych leków.
 - Na sen?
 - Też, można tak to określić. Dlatego mogłam zapomnieć, że to zaczęło się już w klubie.
 - Widzisz, a ja chyba niczego nie zapomniałem.
 - To, że tak siedzieliśmy, chyba mnie zaskoczyło.
 - Mam nadzieję, że pozytywnie.
 - Tak. Już sobie przypominam, co wtedy pomyślałam.
 - Co pomyślałaś?
 - Że jesteśmy w liceum.
 - Było aż tak źle?
 - Przeciwnie, było wspaniale. Pomyślałam, że to sen o licealnych czasach.
 - Patrzymy sobie w oczy i nic z tego nie wynika
 - „Do utraty tchu”, Godard. Pamiętasz?
 - Znacznie więcej niż to.
- Nadjeżdżający autobus zatrzymał się na światłach. T. objął mnie na pożegnanie.
- Miłego wspominania o tym, co zaczęło się jeszcze w klubie.
 - Jeśli ponownie spotkamy się dopiero za kilka lat, może zdążę sobie przypomnieć resztę tamtego wieczoru.
 - Mam nadzieję, że szybciej. Spotkamy się szybciej.
- T. odjechał, a ja wróciłam śnić. W śnie był śnieg, my i to, co niewypowiedziane.

Anna Dwojnych

ur. 1988, poetka, autorka krótkich próz i dramatów, absolwentka socjologii i filozofii. Publikowała w wielu pismach i kilku antologiach. Autorka książek poetyckich „gadu gadu” (2011), „Wypadki z przypadkami” (2019), „Nocne zabawy w dużych miastach” (2022). Związana z Płockiem, Toruniem i Warszawą. Tłumaczona na j. duński.

OLIWIA PARZYŃSKA

KRÓTKIE FORMY PROZĄ

Głuchy telefon

Długo się zbierałam, żeby wykonać połączenie. Metoda słupów telegraficznych to najdokładniejszy sposób na powielenie obiektu w perspektywie. Poczułam ulgę, ktoś mnie wystuchał, ale czy usłyszał? „Ważne, że słuchał” – podsumowałam. Gwiazdy, zapach pierwszego ciepłego wieczoru, niezaproszony gość, znów chłodny wiaterek. Było mi lżej i lewitowałam nad tym murkiem z czerwonej kostki. Nie chciałabym nurkować w Odrze.

Impuls, iskra. Ktoś wylał cytrynowe piwo z garażu i doszło do zwarcia. Obserwowałam, jak lampki zapalają się na czerwono. Niebezpieczeństwo?

Kable wyglądały jak wijące się węże, ciekawe, czy któryś okaże się jadowity. Bez strachu łąpałam je za głowy, byleby poczuć ich śliską skórę w swojej zmęczonej dłoni. Bliskość. Przekażę obraz dalej, wykreślę następny słup, aż osiadzie na horyzoncie i będzie tylko małą kropką. „To ci pomoże”.

Były węże i był ślimak zakręcony, ten w uchu, i byłam też ja i byli też inni, a wszystko mną kotysało jak mama do snu, jak on na podłodze, trzymając kolana przyciśnięte do piersi.

Ktoś odebrał, ale co mi właściwie odebrał i czy nie był to mój głos, którego nigdy już nie zabrzmi tak samo?

.

.

Pszczelarz

Ubrany w biały kombinezon i ochronne rękawice przechadza się alejami. Nasłuchuje. Jest cicho, omamione gazem śpią, dzięki temu są bezpieczne, kiedy się wybudzą, będą bardziej skłonne do współpracy. Lubi tę ciszę, odpoczywa od harmidru i ciągłego brzęczenia nad uchem. Nachyla się nad nimi i przygląda się, jak powoli poruszają odnóżami, gdyby miały odwagę na niego spojrzeć, nie zobaczyłyby jego oczu, jego twarz jest skryta za czarną siatką.

Pszczelarz dba o swoje pszczoły, chroni je od samych siebie – „Gdyby nie on – mawia – najprawdopodobniej by się pożarty”. Uratował je od niebezpieczeństwa dzięki wolności, nadał ich życiu cel i porządek. Zanim je zabrał z tamtego zmurszałego konaru, nie wiedziały jak się zorganizować, jak być prawdziwie pożyteczne. Miały co prawda królową, ale co to była za monarchia? Władczyni nadawała się tylko do składania jaj, a robotnice wabione jej feromonami słuchały jej wszystkich rozkazów, nie zdając sobie sprawy, że to ona była prawdziwą niewolnicą, uwięzioną przez własne ciało.

Naturalnie, złapanie królowej było pierwszym zadaniem pszczelarza, znał ich zwyczaje lepiej niż one same i wiedział, że pofruną za nią nawet w kierunku największego niebezpieczeństwa. Choć był dobrym człowiekiem, musiał zastosować tę drastyczną metodę, nie rozumiałyby, że robi to dla ich dobra, logika nie przemawia do pszczół, trudno nawet z nimi rozmawiać, ich język jest niezrozumiały i wybrakowany.

Niestety miód osiadły na konarze nie nadawał się do konsumpcji, był brudny, a plastry nie miały regularnych kształtów. Pszczelarz nie pozwoli, by pracowały na marne, pokaże im, jak robić to sprawniej i lepiej, według jego schematu. Sprzeda miód pszczeli na targu, w słóikach podpisanych jego nazwiskiem.

.

.

Sezon

Wiatr przynosił słodki, nachalny zapach fig. Wypełniał nozdrza obietnicą rozkoszy, pozostawiając gęste, ciepłe powietrze w płucach. Owoce były już na skraju dojrzałości, ich okazałe kształty otwierały się od nadmiaru miąższu, po spękanej skórcie rozlewało się lepkie mleczko, zatrzymując się leniwie na wklęsłych prążkach.

Jedna kropla spadła na dłoń kobiety, osiadła w załamaniu między wskazującym i środkowym palcem. Lśniła w promieniach zachodzącego słońca, powoli traciła swoją wypukłość i zasychała na rozgrzanej skórze. Zachłannie ją zlizwała, w nadziei, że rozbudzi jej kubki smakowe wspomnieniami dzieciństwa, beztroskich chwil spędzonych na świeżym powietrzu, kiedy jeszcze była dziewczynką w dwóch warkoczach plecionych, wbrew stanowczym protestom, przez mamę.

Słodycz była przytłaczająca i mdląca, zostawiła po sobie posmak rozpoczynającej się fermentacji. Dłoń kobiety świeciła się od lepkiej pozostałości mleczka, a czubek języka zaczął ją delikatnie łaskotać. Popatrzyła na stare drzewo dające jej cień. Gałęzie pięły się w najróżniejszych kierunkach, jedne wskazywały ostrymi końcami ku niebu, drugie ugięły się pod ciężarem owoców, niemal dotykając ziemi. Niektóre figi były już wyschnięte, zasuszone, przypominały swoją pomarszczoną powierzchnią korę, lub twarz starego człowieka. „Za długo czekałam – pomyślała – w następnym sezonie wybiorę się tu wcześniej”. Wróciła do domu z pustymi rękami, ciągle rozmyślając o mięsistym wnętrzu i purpurowej skórze.

.

Oliwia Parzyńska

urodzona w 2003 we Wrocławiu. Studentka Kultury i praktyki tekstu: twórczego pisania i edytorstwa. Organizatorka wydarzeń literackich, uczestniczka Koła Naukowego Młodej Krytyki.

ZBIGNIEW PISUŁA

BUDOWLANIEC VS SPRZĄTACZKA

Początkowo przychodziła do mnie do piwnicy i mierzyła rury, które trzeba zaizolować. Wszystko jej pokazywałem, robiła zdjęcia, nawet pstryknęła ujęcie wody w piwnicy u sąsiadów. Nie wierzyłem, że to może źle się skończyć. Kiedy przeszła do piwnicy sąsiadów, to usłyszałem komentarz:

– Kto ma miękkie serce, ten ma twardą dupę.

Pomyślałem sobie, mów, co chcesz i tak cię ruchać nie będę. Następnym razem wypsnęło jej się: – Pan ma tutaj za dobrze.

Nadal nie wierzyłem, że ma złe zamiary. Przecież dała mi swój telefon i powiedziała, że weszła w skład zarządu wspólnoty, że sprawy remontów będą ją żywo obchodzić.

Zaczęło się od tego, że była woda w piwnicy. Przyjeżdżał Irek ze swoją ekipą i przepychał. Dzwoniłem i on przyjeżdżał. Tak było trzy razy. Mówił wtedy do mnie, że wszystko pójdzie z ubezpieczenia, nawet obiecywał mi jakąś kasę za zbieranie gównien. Nic od niego nie dostałem. Dowiedziałem się później, że firma ubezpieczeniowa odmówiła pokrycia kosztów, a Irek wystawił rachunek wspólnocie. Wtedy straciłem całkowicie poparcie, łącznie z tym u przyjaciół, bo rachunek

był niebotyczny. Akcje budowlanka poszybowały w górę. Powiedziała do mnie: – Trzeba zrobić raz, a dobrze.

Dużo działa się poza mną. Miała kumpelę u zarządcy nieruchomości i obydwie rządziły. To były dla mnie ciężkie czasy. Nawet dzisiaj mogę powiedzieć, że budowlaniec miał rację. Nie ma wody w piwnicy, ale mnie też nie ma. Jestem u sąsiadów, bo tam się przeniósłem – przeszedłem dołem.

Zanim zaczęły się remonty, przyjechała ekipa z MPWiK. Sami faceci. Budowlaniec zesłał z nimi do piwnicy i powiedziała:

– Otwieraj pan piwnicę – trzeba obejrzeć!

– Nic tam nie ma.

– To jest moja piwnica.

– Wyleci pani z zarządu migiem.

– Razem z panem.

– Nie jestem w zarządzie.

Wszystko przy świadkach, ale później zdarzyło się, że przyszła sama do piwnicy i do mnie, że nie powinienem tak mówić. Już była przy wyjściu, wtedy pomyślałem, że nie ma świadków i powiedziałem:

– Spierdalaj!

– To ty spierdalaj!

...i sobie poszła.

Wkrótce musiałem się wyprowadzić. Narozrabiałem też w biurze zarządcy nieruchomości. Powiedziałem do jej kumpeli przy wszystkich:

– Zamknij się, ty głupia babo!

Nie wytrzymałem, bo zapytała mnie o tytuł prawny do piwnicy.

Opuścili mnie przyjaciele. Nie było mnie dwa tygodnie. Ociągałem się z szukaniem nowego klienta, aż spotkała mnie sąsiadka budowlanka i powiedziała, żebym poszedł do zarządcy nieruchomości i poprzeproszał baby – wtedy wrócę. Nie wyobraża sobie życia bez mego sprzątnia. Tak też zrobiłem.

Pani spod siódemki okazała się moim nowym przyjacielem. Kiedyś była wrogiem, bo zabrałem jej wycieraczkę. Nie liczyłem na nią, chociaż przy mnie nazwała budowlanka, czyli swoją sąsiadkę, brudasem. Mieliśmy wspólnego wroga. Od tej pory mam znaczące określenia dla swoich wrogów: brudas i zdechlak. Dlaczego brudas

nazwałem budowlańcem. Chyba dlatego, że nienawiść nas, sprzątaczek, do budowlańców, czyli paprów, jakby powiedziała moja mama, jest powszechna. Te papry dawały sprzątacze dwadzieścia złotych, żeby zrobiła po nich porządek. Nigdy bym się nie zgodził na takie pieniądze. Nienawidzę dziadostwa. Przy okazji pragnę wyjaśnić, że jestem sprzątaczką rodzaju męskiego, a budowlaniec kobietą na emeryturze.

Po upływie roku dotarła do mnie miła wiadomość. Kumpela budowlańca wyleciała z hukiem z pracy. Moje akcje poszybowały w górę, jednak nabrałem ostrożności. Pozostałem u sąsiadów, chociaż tam jest o wiele gorzej. Pomyślałem, że nie porozkładam swoich rzeczy, jak dawniej, dopóki budowlaniec pozostanie w zarządzie wspólnoty. Dowiedziałem się od dawnego przyjaciela, który jest nowym przyjacielem, że zostanie wyrzucony zdechłak, a na jego miejsce powoła się zaprzyjaźnioną osobę. Sprawa jest rozwojowa.

Zbigniew Piśuła

urodził się 28.04.1956 w Poddębicach. Wychował się w Sworawie, w rodzinie chłopskiej. Miał wspaniałe dzieciństwo, którego tajemnice zabierze ze sobą do grobu. Sprząta dwa numery pod Arkadami. Konia z rzędem temu, kto zgadnie które.

KUBA PODLEWSKI

OKULARY; BURZA; KWESTIA PALENIA SZISZY

Okulary

Ciotka krążyła po pokoju już od dobrych kilkunastu minut. Szukała wszędzie, we wszystkich szufladach, pod łózkami i za telewizorem, okularów nigdzie nie było. Wszystkie rzeczy, które wujek zostawił po sobie w ich skromnym domku nad jeziorem, włożyła już do dużego pudełka. Chciała wziąć je do mieszkania, żeby zawsze mieć je przy sobie. Dwie wędkę, czarną czapkę z daszkiem podziurawionym przez haczyki, dwa rozmiary za duże gumofilce, krem do golenia Lider, kilka zestawów żyletek, wodę po goleniu Bond, plastikową skrzynkę pełną błystek i kotwiczek, duży, bordowy scyzoryk, krótkie spodenki Adidas, które kiedyś były ciemnogrnatowe, ale dawno wypłowiały i zrobiły się szaro-błękitne, wszystkie trzy tomy Józefa i Jego Braci, oraz dużą, wędkarską kamizelkę w moro. To właśnie w kamizelce ciotka szukała najdokładniej. Wujek zawsze wkładał do niej swoje przeciwsłoneczne okulary z żółtymi szkiełkami. Czasami nosił je w kieszeni wewnątrz lewej poły kamizelki, a czasem zawieszał je na małej, wąskiej kieszonce na scyzoryk, mieszczącej się na prawej piersi. Okularów nie było nigdzie. Po pół godziny poszukiwań ciotka zaczęła

płakać. Chciała zachować dla siebie wszystkie pamiątki po wujku, ale tej jednej nie mogła znaleźć. Mówiła mi, że kiedy o nim myśli, zawsze widzi go w tych okularach. Zawsze spalonego słońcem ze starannie przylizanymi, mocnymi, siwymi włosami, zawsze uśmiechającego się spod gęstego wąsa i zawsze noszącego przeciwsłoneczne okulary z żółtymi szkiełkami, przez które świetnie widać było jego zmęczone, ale zawsze wesole oczy. Nie mogłem oddać jej tych okularów. Cały czas chowałem je w tylnej kieszeni spodni. Bardzo trudno patrzyło mi się na nią, kiedy płakała. Przytuliłem ją, powiedziałem kilka słów otuchy – okulary na pewno niedługo się znajdą, najważniejsze, że-
byśmy cały czas o nim pamiętali i dużo o nim myśleli – i wyszedłem.

Zbliżał się wieczór i właśnie zachodziło słońce. Ostatnie promienie odbijały się od nierównej, mierzwionej przez wiatr tafli jeziora. Założyłem okulary i patrzyłem daleko przed siebie.

.

.

Burza

Niebo było granatowe, a chmury całkowicie czarne. Wraciałem wtedy do domu, zbliżała się dziesiąta w nocy. Byłem spocony po całym dniu pracy. Wiał delikatny wiatr, sprawiał że czułem się szczęśliwy. Gdzieś daleko, pomiędzy budynkami, zaczęło się błyskać. Dookoła panowała całkowita cisza i ciemność. Co jakiś czas błyskawice rozświetlały noc nakreślając na chodnikach kontury budynków. Stałem na pasach i czekałem. Obok mnie stanął rowerzysta, popatrzył się w moją stronę, uśmiechnął się, wziął tyka wody z bidonu i też czekał. Błysk – ciemność i tak w kółko. Dobrze, że nie padało, nie miałem wtedy przy sobie parasolki. Błyskawice były coraz bardziej wyraźne, burza chyba się zbliżała, choć wciąż nie było słychać grzmotów. Czekałem cierpliwie. Błysk – ciemność i kompletna cisza. Rowerzysta ruszył przed siebie. Błysk – ciemność – grzmot! W końcu zaczęło grzmieć. W końcu przyszła burza, niedługo powinno zacząć padać. Chciałem w końcu przejść przez pasy, ale droga była zablokowana. Na środku zebry stał samochód, duży i bordowy, z pottuczoną przednią szybą. Chciałem go obejść, ruszyłem w prawo, ale tam, kilka metrów od wgniecionej

maski samochodu leżał rowerzysta, który przed chwilą czekał ze mną na pasach. Odwróciłem się i obszedłem samochód od drugiej strony. Z tyłu nie miał żadnych – błysk – ciemność – cisza – wgniecen, a szyby były całe. Błysk – ciemność – burza chyba już przeszła, a nawet nie zdążyła się dobrze zacząć. Grzmot był tylko jeden, a deszczu nie było w ogóle.

.

.

Kwestia palenia sziszy

Mapesbury Hostel London – w takim miejscu trudno się zgubić, ponieważ jest małe. Ma tylko dwa piętra. Na samej górze są pokoje, na samym środku są drzwi wejściowe, a na trzecim piętrze na samym dole siedzą panowie różnych kultur o różnych budowach ciała i palą sziszę, dlatego tego piętra nie wliczam do liczby pięter, bo ono jest wyłączone z pełnienia funkcji piętra, pełni tylko funkcję palarni sziszy i pełni ją tylko dla tych szczególnych panów, a dla reszty gości już nie. Panów jest tam pięciu, bardzo różnych z resztą, jeden, moim zdaniem, jest Eskimosem – Inuitą. Jeden mój kolega właśnie zna się na Inuitach i na ich zwyczajach dotyczących palenia sziszy. Według niego takie zwyczaje u Inuitów nie obowiązują i u nich się sziszy nie pali, ale ja jestem pewny, że jeden z nich robił to na trzecim od góry piętrze w Mapesbury Hostel London. Ktoś musi się więc w tej sytuacji mylić. Uważam, że to mój kolega się myli, ponieważ on nie był nigdy w palarni sziszy w Mapesbury Hostel London i szczerze mówiąc, na Inuitach też zna się raczej średnio, bo wszystko o nich opowiedział mu jego tata, który wcale nie jest badaczem Inuitów, tylko organizatorem wycieczek wysokogórskich oraz entuzjastą wyścigów psich zaprzęgów, na których to właśnie miewa czasami kontakt z Inuitami. Kiedyś ten tata napisał taką książkę, chyba o czymś, ale nie pamiętam tytułu. Dostała w sieci naprawdę kiepskie recenzje, ale pisali je tylko zgorzkniali Inuici, których ten tata prześcigał na wyścigach psich zaprzęgów. Żryjcie śnieg Inuici! – tak krzyczał, wymijając ich na różnych trasach wyścigowych. Moim zdaniem całą sytuację załagodzić dałoby się przy sziszy. Gdyby ten tata usiadł z reprezentantem Inuitów, zapalił i wyjaśnił z nim kwestię wyścigów oraz niepochlebnych

komentarzy dotyczących jego książki, które Inuici zamieszczali w sieci, sprawa w łatwy sposób zostałaby załagodzona. Sęk w tym, że tata ten nie jest mile widziany na spodnim piętrze Mapesbury Hostel London, a gdzie indziej sziszy palić nie chce.

Kuba Podlewski

najzabawniejsza osoba w każdym pomieszczeniu. Urodzony w Strzegomiu, posiadacz serca z granitu. Kocha wędkarstwo, ale nie wstawi na Tindera zdjęcia z rybą. Jest Straighe Edge, a to znaczy, że jest od ciebie lepszy. Studiował sinologię i kipt, więcej błędów nie popełnił.

EMILIA SĄSIADK

NIEBIESKA KARTA DLA OBU OSÓB BOSKICH

Dzisiaj umarł Bóg. A może wczoraj, nie wiem. Dowiedzieliśmy się o tym na zajęciach z filozofii, tak mimochodem, zanim przeszliśmy do brzytwy Ockhama. Moje rodzeństwo zareagowało zaskakująco dobrze, żeby nie powiedzieć wcale. Właściwie nowy temat pochłonął ich niczym ocean, na którego dnie leżeliby z pewnością, gdyby się owej brzytwy nie złapali. Klasyczne wyparcie.

Ja, niedoszła psycholożka, postanowiłam rozpracować ten temat terapeutycznie, może nawet poznawczo-behawioralnie. Wierzyłam, o ironio, że szybko o Bogu zapomnę, w końcu już od lat nie byliśmy blisko. Niestety, wszystko mi o Nim przypomina i nawet nie mam do kogo się pomodlić, żeby mi to przeszło. Jak każda inna śmierć Rodzica, sytuacja wymaga żałoby. Na początku myślałam, że ona nie potrwa długo, klinicznie każda, przekraczająca okres dwóch tygodni, jest patologiczna. Ale ta patologia znów mi się z Bogiem skojarzyła, więc żeby nie popaść w melancholię, uciekłam pod spódnicę innej freudowskiej figury. W końcu kto zna się na rodzicielstwie i bytach wyższych bardziej niż Matka. Poszłam więc do Niej i pytam, jak zapomniała o Bogu.

- Nie zapomniałam. O Nim nie da się zapomnieć, bo jest wszędzie, we wszystkim i w każdym.
- W tobie też? – o sobie już nawet nie wspominam, żeby nie podsycać moich tendencji samobójczych.
- Szczególnie we Mnie, ponieważ spełniłam swoją rolę w Jego oczach. On stworzył świat, Ja stworzyłam ciebie.

W konsekwencji tej odpowiedzi czuję irytację. Mój mózg pomimo w pełni ukształtowanego płatu przedczołowego nie pojmuje konceptu wszechobecności przy jednoczesnej wszechnieobecności Boskiej.

- Ale Nietzsche powiedział, że umarł, że nie żyje. – mówię zagubiona.
- Nie chciałam sprawić ci przyszłości. – wycofuje się Matka – Przyszłości. – poprawia się szybko. Freudowska pomyłka. Odchodzę zrezygnowana.

Może i pomnik został obalony, ale piedestał stoi pusty i strach pomyśleć, który z namnożonych bytów pierwszy dopadnie koryta. „Z Bogiem lub choćby mimo Boga”. Ale żeby tak bez? Chociaż pewnie lepiej, gdyby nie istniał, i On, i moja Matka byłiby bez winy. Może nawet poszliby do nieba.

Emilia Sąsiadek

2002; wrocławianka z urodzenia, pisarka z przymusu, deterministka z wyboru, komunistka z konieczności. Studentka KiPT w IFP UW wrocławiu. Język jest jej snem i koszmarem. W swoich pracach porusza głównie tematykę cielesności w kontekście performatywnym, doświadczenia marginalizacji oraz traumy religijnej.

KRZYSZTOF SOWA

48K VS 96K VS 192K

Sprawa dodatkowego roweru wyjaśniła się pod koniec lata. Bolek opowiadał to potem każdemu, kto chciał zrozumieć problem częstotliwości próbkowania w elektroakustyce.

W maju obsługiwał popołudniową imprezę na dziedzińcu Domu Kultury Luksus i zapamiętał przypiętą pod ścianą czerwoną samoróbkę, bo musiał przez nią przewlec kable. Dwa tygodnie później była tam nadal, kiedy sprząтали rano po techenku. Następnym razem też stała, jak stała i Bolek zapytał Karolcię, a Karolcia uznała jej status rzeczy porzuconej. Wyglądało na to, że ktoś pośród kolędy zapomniał, gdzie – lub że – był. I teraz co? Znalezione – nie kradzione. Ku ogólnemu poruszeniu, Bolek wrócił po chwili z magazynu z gumówką, a pięć minut później oznajmił, że robi wszystkim przysługę, więc jeśli pojawi się właściciel, to prosi o kontakt, i odjechał.

Na spółdzielczym ściennym wieszaku w bramie przy Pomorskiej miał więc teraz dwa rowery. Swoją trzymał, jak dotychczas, na łańcuchu z kłódką (słyszał od znajomych, że zwykłe zapięcia za łatwo się tną); nowy początkowo dopinał do niego. Za dużo z tym było jebania. Po pewnym czasie, korzystając z tego, że wisiąca tam dorodna

kiść lepszego i gorszego złomu, postanowił wziąć złodziei z zaskoczenia i zaczął zostawiać czerwony rower luzem pomiędzy innymi. Współlokatorowi Sebkowi odcięli górala. Kupił drugiego i też go odcięli. Nie kupił trzeciego. Jednobiegowa seksowna, acz skowyrna quasi-kolarzówka na grubych kołach miała się jak najlepiej. Bolek był szczęśliwy mogąc zapraszać ludzi na przejażdżki w duecie. Wyższym oferował swój złożony u Maurycego na młynie czarny no-name na smukłych oponach, który wciąż kochał, tylko że teraz poznawał jak to jest, kiedy rodzi się drugie dziecko. Nowa pociecha nadawała się dla mniejszych osób, bo była w rozmiarze trzy czwarte, ale Bolek lubił dynamiczną jazdę na stojąco, a skrócona prosta kierownica dodawała całości czegoś, co zachęcało do zjeżdżania po schodach i skoków z każdego krawężnika. Nie było więc problemem, że na siedząco wyglądał trochę jak wujek na beemiksie.

Królik był niski. W ogóle najpierw nie chciał na rzecz żadnego roweru rezygnować ze swojego ulubionego zwyczaju zdzierania podeszw dwudziestokilometrowymi spacerami po mieście. Ale że – od kiedy po osiągnięciu dwudziestu sześciu lat, zakończywszy umowę z Call Center Inter Galactica, a nie zdobywszy przebojem rynku pracy w grafice 3D, wrócił na łono rodzinnej wytwórni precli w Przemyślu – widywali się tak rzadko, kilka razy w ciągu tegorocznej dorocznej wizyty zrobił Bolkowi tę przyjemność. Przejechali się po pijaku na przykład do Joasi. Joasia od dwóch miesięcy zdradzała z Bolkiem swojego chłopaka, z którym mieszkała sześć lat. Bolek uwielbiał ją za jowialne usposobienie, inteligencję i kruchą fizjonomię ni to modelki, ni to heroinistki (to tylko jego skojarzenia – pracowała w jakimś poważnym biurze, a interesowały ją jedynie psychodeliki, emka, i czasem mefedron). Na tamtą chwilę nie operował jeszcze prawidłową definicją słowa dwubiegunówka. Jej bezdenne libido i oczadziały wzrok w stanie manii wprawiały go momentalnie w podobne, co jej, upojenie. Opis nieudanego związku i obietnica uregulowania sprawy w odpowiednim czasie z grubsza wystarczały do uspokojenia sumienia. Tak więc oto jebali się beztrudno w możliwie każdej wydartej zdrowemu życiu chwili, a obrazek ten, wycięty z kontekstu i zawieszony na honorowym miejscu w wyobraźni Bolka dawał mu poczucie spełnienia w roli bohatera własnej legendy. Teraz, ponieważ, ku jego uciechy, Joasia wyraziła była niedawno zainteresowanie dodatkowym członkiem gier i zabaw, niczego nie świadomy Królik miał otrzymać

najpiękniejszą z niespodzianek. Był to jednak plan kilkuczęściowy. Życie to nie film. Najpierw należało pozwolić im się zwąchać. Poszli na rynek we troje. Bolek wracał sam.

Bronisław Królik dał się namierzyć następnego dnia około południa. Okazało się, że stracił z oczu Joannę Gałązkę około godziny czwartej. Czekał, aż skorzysta z łazienki w Macu. Po dłuższej chwili poszedł ją znaleźć. Znowu wyszedł, wszedł, i znów. Uznał, że albo się rozminęli, albo celowo go zgubiła i pomaszerował na Pilczyce, przemelinować u Kondzia.

Bolek nie dotrzymał kroku jemu w picciu, a jej w paleniu. Podobno o drugiej upart się, że idzie do domu, bo ma tam spaghetti bolognese. Sam pamiętał to inaczej. Miał do siebie żal, że nie umie uzyskać wglądu w istotę bytu, co w młodszy wiek robił na życzenie. Kupując w nocnej Żabce niezbędne wiktuały, zwał z wystawy wstęgę paczek chrupków, po czym wyciągnął odwrotnie portfel i rozsypał po sklepie wszystkie pieniądze. Chciał okraszyć to błyskotliwym żartem, ale nie miał już zdolności wymawiania twardych spółgłosek, ani kontrolowania własnej mimiki. Tamci dwoje bawili się świetnie. Śmieszkowali bez przerwy chuj wie o czym – czyli na pewno o nim. Potem celowo ignorowali jego poświęcenie, kiedy usiłował rzygnąć resztkami afirmacji dla społeczeństwa – czyli poprzez to okazać im wsparcie, i że zawsze mogą mu wszystko powiedzieć i w ogóle. Jakoś tak wyszło, że znaleźli się na przystanku i podjechał nocny autobus.

Jak się kochają, to chuj z nimi – cytując klasyka pomyślał, przyklejając twarz do szyby z tłustymi śladami po poprzednich twarzach.

Wszystko byłoby w normie gdyby nie to, że rano do Bolka odezwał się chłopak Joasi. Tomeczek znał go, wiedział, że się spotykają i podejrzewał po co. Ale to nie był jeszcze ten moment.

czesc

Cześć. Dawno się nie widzieliśmy

bo zawsze jak u mnie jesteś to nie ma mnie w domu

Rzeczywiście

aska nie wrocila do domu nie zjawila się na home office i ma wyłączony telefon jest z toba?

Zrozumiałe było, że spała gdzieś z Broneczkiem, ale Tomek na 112 dowiedział się że w nocy na pogotowie została przewieziona jedna osoba płci żeńskiej, NN. Był osrany. Trzeba było jej poszukać. Bolek w końcu dodzwonił się do Królika. Usłyszał o kiblu i poczuł się gorzej. Zapewniała Królika, że jest przekoksem i szczerze rypali szota po szocie w barze za barem. Królik namawiał, żeby poszli żreć, ale nie miała na nic ochoty. Po dwóch godzinach niepokożenia pytaniami kolejnych znajomych Bolek wpadł na pomysł, żeby zadzwonić do McDonalda. Wszystko było jasne. Miła młoda dziewczyna w słuchawce powiedziała, że na nocnej zmianie była u nich policja, bo jakaś kobieta zamknęła się w toalecie, straciła przytomność, następnie stawiała opór. Pod domem była komenda. Niestety młodsza aspirant nie mogła udzielić żadnych informacji.

– ...Poza tym, jak to było w nocy, to to i tak jest za wcześnie, bo trzeba poczekać, aż postępowanie się... wszcznie.

Wtedy na defaultowym awatarze Asi pojawiła się zielona kropka. Zamierzała pozwać do sądu Izbę Wyrzeźwień za znęcanie się.

Można by jeszcze sporo opowiadać o wycieczkach na czerwonym rowerze, natomiast sedno wymienionego wyżej zagadnienia z dziedziny cyfrowej obróbki dźwięku leży w tym, iż aby wiernie odwzorować przebieg fali, potrzebne jest dokonanie jej zapisu w odpowiedniej ilości punktów. Wymagana częstotliwość próbkowania to przynajmniej dwukrotność największej częstotliwości zapisywanego widma. W przeciwnym razie ruch i bezruch niektórych kawałków świata mogą być nie do odróżnienia.

Początek września był czasem ostatnich letnich fuszek, którym Bolek zawdzięczał godne życie kulturalne. W zastępstwie za Mariana miał do skręcenia koncert noise'owy z preformansem faceta tarzającego się nago w ciemności po oranej szumem widowni (swoją drogą, bardzo udane wydarzenie). Po próbie Karolcia zawołała Bolka

na dziedziniec, gdzie czekało dwóch zdenerwowanych Tadżyków – młody i przystojny analityk z przyległego lokalu biurowego, i jego brodaty umięśniony kolega w charakterze świadka. Koleś przypinając u-lockiem nowy, piękny biały rower, zobaczył zdumiony swój poprzedni, czerwony, stąd skradziony. Panowie przyszli się dowiedzieć, od kogo ktoś go kupił. Kiedy pokaleczonym angielskim wytłumaczono im, kto się do nich uśmiecha, ich język przyspieszył i zmienił ton. Bolek ujrzał pęknięcie w swoim krystalicznym rozumowaniu. Goście postanowili nie rozumieć argumentów. A przecież, niezaprzeczalnie, przyjaciele i znajomi Luksusu zawsze widzieli tylko rower przypięty pod ścianą, czasem przesunięty po imprezie. Nikt nie widział, że chłopak codziennie rano przyjeżdżał na nim, a w porze, kiedy klub był pełen ludzi, odpinał go i jechał do domu. Bolkowi za mało zależało na udobruchaniu rozmówców.

Tak to pozbył się jednego pojazdu. W końcowym rozrachunku nie zmartwiło go to. Przyszło-poszło – śmiał się. Miał drugi. Drugim pewnego ciepłego wieczoru z niewyjaśnionych żadnym fenomenem fizyki powodów wjechał w ścianę. Złamał ramę, rękę i nos.

Joasia nie pozwoliła się zabrać do szpitala, kiedy na kilka tygodni spadła w skrajne załamanie, po tym jak wróciła któregoś dnia do domu i zobaczyła, że w kuchni brak deski do krojenia, w salonie na ścianie zostały otwory po telewizorze, a na fb zablokował się tuzin kontaktów.

Zanim to się jednak stało, Królik na jakiś czas zyskał spokój z rozwożeniem precli. W dniu jego powrotu do Przemyśla, spóźniwszy się na tramwaj, pognali tymi dwoma rowerami. Na placu pod samym dworcem, tryumfalnie za trzy, przejechali przez wytryskującą z chodnika, podświetlaną odpustowymi ledami fontannę. Bolek schlapał szlaczem swoje ulubione garniturowo-dresowe spodnie. Królik z torbą brudnych gaci na plecach wyjechał się w poślizgu, a czerwony rower złożył mu się na lewej nodze, niczym specjalistyczny otwieracz wysadzając ją ze stawu kolanowego. O dziwo był tak zdeterminowany, żeby zdążyć, że ścisnął nogę z dwóch stron i kość z głośnym „klok” wskoczyła na miejsce, ale pociąg odjechał bez niego. Przyjął wtedy sugestię gapiów, żeby przestać chodzić i wziąć taksówkę do szpitala. Na sorze w pogodzie ducha przeczekał pięć godzin, a noga nabrzmięła krwią. Chirurg odessał mu ją kilkoma pociągnięciami

wbitej pod rzepkę stumililitrowej strzykawcy. Królik nigdy nie czuł się tak wdzięczny lekarzowi. Spędził jeszcze pięć dni we Wrocławiu, najpierw z nogą w gipsie na łożku Bolka, a później turlając się z nią do kolegów na tym samym rowerze, z kulą wystającą z plecaka, chwając się, że przemieszcza się i tak szybciej niż piesi.

Krzysztof Sowa

34 lata, pracownik techniczny branży eventowej. Zamieszkały we Wrocławiu. Nie deklaruje konkretnych zainteresowań.

JACEK ŻEBROWSKI

Z ARCHIWÓW 8. NIE MA GWIAZD W DŻUNGLI

Joy Division z Manchesteru – wciąż najlepsza ścieżka dźwiękowa dla teenage angst (kto choć przez chwilę nie dał się wciągnąć w oleistą maź depresji?) i do potykania żyletek. Curtis już dawno zszedł, ale martyrologia pokutowała w kraju katolickiego kultu świętych obrazów jeszcze do lat 90.

W The Bird's Nest na Deptford w Londynie spotkałem kiedyś bezzębego cockneya, starego punka i ravera, z którym popijaliśmy „JD (sic!) with coke”. Opowiadał mi o swojej wizycie w Bolandii w 1990 roku: „Jeździliśmy z ekipą rejwerską po Europie. W Anglii dawno skończyły się czasy punku. Woziliśmy ze sobą pastylki ecstasy jak hostię. Misja na Europę Wschodnią! Wpadamy z Berlina do Poland, psychodeliczne koszule, szorty, nabombieni pigułkami, a tam... wszyscy smutni, szarzy, w pasiakach, wóda się leje i płaczą przy Joy Division! Kurwa, typie, o co biega?! Curtis nie żyje od 10 lat! Ale i tak było fajnie, wracaliśmy jeszcze wiele razy”.

„Nie bez powodu na początku swojej działalności [Joy Division] nazywali się Warsaw. To właśnie w tym wschodnim bloku umysłowym, w

tym bagnie przygnębienia, można było znaleźć dzieciaki z klasy robotniczej, które pisały piosenki prześiąknięte Dostojewskim, Conradem, Kafką, Burroughsem, Ballardem, dzieciaki, które nawet o tym nie myśląc, były rygorystycznymi modernistami” (Mark Fisher). Oi!, post-punk, dub, hip-hop, techno, porno, VHS, komiksy, klej, woda, skun, brańń, depresja, blokowiska, bezrobocie, przedawkowania, podcinanie żył, skakanie z wieżowców, trupy w jeziorach i piwnicach. Filip Kalinowski w książce *Niechciani, nielubiani*. Warszawski rap lat 90. – najlepszej jak do tej pory pozycji o najntisach – cytuje byłego policjanta: „Za komuny jak facet miał nóż, to całe miasto chodziło sparaliżowane, a wszystkie radiowozy szukały nożownika. Od tego nieco umownego 1994 roku rośnie miarowo [zorganizowana przestępczość] z roku na rok i pod koniec dekady to już jest prawdziwa rzeź: dziennie dwa, trzy zabójstwa w Warszawie. Pracowałem jako naczelnik dochodzeniówki, to nie było dnia, żebym nie miał zabójstwa”. Autor zaś dodaje: „Liczbę istniejących wówczas zorganizowanych grup przestępczych szacowano na 475, liczbę ich członków zaś – na 4000. Dzieci osób przedsiębiorczych z optymizmem patrzyły w przyszłość, z kolei dzieci bezrobotnych widziały się w roli ‚straconego pokolenia’. Co trzeci chłopak i co piąta dziewczyna stwierdzała, że najważniejsze w życiu są pieniądze, połowa badanych oceniała, że równieśnicy poświęcają większość swoich sił na pogoń za kasą”.

To, co kraj ziemniaka i cebuli przechodził w najntisach, było podobne sewentisom i ejtisom w Brytanii. „Sądząc z obrazów, właśnie tutaj miała się narodzić muzyka punk, poezja rozpaczy i proletariacka melancholia” – pisał z kolei o ukraińskim Charkowie lat 80. Jurij Andruchowycz. Nienawiść rodząca się na przecięciu upadku socjalizmu/fordyzmu i siłowego forsowania totalitaryzmu kapitalistycznego, Thatcher wychowana w duchu surowej moralności kalwińskiej, cierpiąca na ostre ASPD (antisocial personality disorder); syn Reagana mówił, że widział dowody na to, że jego ojciec stracił zdolności umysłowe podczas pierwszej kadencji, która rozpoczęła się w 1981 roku. Neoliberalny (nie)porządek wprowadzany przez socjopatów i szaleńców: „Nikt nie pamiętałby o Dobrym Samarytaninie, gdyby tylko chodziło o jego dobre intencje; przecież on miał też pieniądze” (Thatcher). „Rząd nie może kontrolować gospodarki, nie kontrolując ludzi” (Reagan). Erę egoizmu podsumowała Glenda Jackson z Partii Pracy, zanim jej partia osunęła się w torysowski serwilizm: „Pod

rzadami Thatcher ludzie wiedzieli, jaką za wszystko płacić cenę, ale nie znali żadnych wartości”. Pierwotny tytuł filmu, arcydzieła Ericha von Stroheima Chciwość brzmiał: Złoto. Główny bohater, McTeague, umiera w kajdanach na pustyni z grudką złota. Na czarno-białej taśmie z 1924 roku pokolorowano je ręcznie. Operator Jerzy Wójcik wiele lat temu przedstawił swój filmowy wybór w Cieszynie na Nowych Horyzontach (czasy tuż sprzed DVD/blue-ray/mkv/avi/mp4...). Specjalnie na pokaz sprowadził z Moskwy oryginalną kopię Stalkera Andrieja Tarkowskiego. Po raz pierwszy można było ujrzeć, że w scenie, która rozgrywa się w tajemniczej komnacie w centrum zamkniętej, postapokaliptycznej Zony, padające z góry na bohaterów delikatne, niemal niewidoczne światło ma złotą poświatę. Podobno to komnata, w której spełniają się ukryte ludzkie marzenia.

„Wulkan na Antarktydzie codziennie ‚wypluwa’ złoto warte tysiące złotych” – głoszą wiadomości w poniedziałek rano – „Dotarcie do niego to prawdziwe wyzwanie”. En la selva no hay estrellas. Bardzo stara kopia filmu. Ze zużytego celuloиду zgranego kamerą VHS w latach 80. Reżyser Armando Robles Godoy tylko częściowo odrestaurował film z kopii, która zachowała się w archiwach moskiewskich (nominowany do nagrody Grand Prix w 1967 roku na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Moskwie).

– Co byś zrobił z całym moim złotem, które zgromadziłam? – pyta Stara Kobieta mężczyznę, który znalazł ją w środku dżungli.

– Byłbym wolny.

Bezimienny arywista, po zamordowaniu przywódcy ludowej rebelii i samobójstwie swojej partnerki (z jego przyczyny: była z nim w ciąży, on nie zgodził się na dziecko, wiedziony chęcią wyłudzenia pieniędzy od lokalnego bogacza), przedziera się przez Amazonię, by spotkać Starą Kobietę. W sercu dżungli, niczym Kurtz z Coppolowskiego Czasu Apokalipsy, mieszka biała kobieta, która jest przywódczynią dzikiego plemienia Indian. Bez żadnego celu gromadzi w butelkach złoto, które zbierają dla niej tubylcy. Arywista kradnie tyle, ile może przenieść plecakiem przez dżunglę:

– Nie chciałybyś wrócić ze mną do cywilizacji?

– Nie mam do czego. Kocham moich Indian.

Skarga nazywał wolność złotą, „aby okazać jej wartość najwyższą”. Słowo „złota” w kontekście wolności interpretował Mickiewicz nie

tylko jako swobodę działania, ale też jako odpowiedzialność, „symbol alchemicznego złota, światła zgęszczonego” (Stefania Tata-równa). Robles Godoy przez lata utrzymywał, że archiwum w Peru zniszczyło negatyw, ponieważ nie było go stać na jego utrzymanie. Laboratoria „Alexa” w Argentynie, gdzie montowano i udźwiękowiono produkcję, zostały zniszczone przez pożar w latach 70. Film nadal istnieje.

„Niewykluczone jednak, że w przyszłości opracowana zostanie metoda, która sprawi, że stanie się to [wydobycie kruszcu z wulkanu Erebus] nie tylko realne, ale i opłacalne” – oczywiście: dwunożna pokraka ze swoją obsesją złota. Musi wwiercić się w ziemię, wykopać, sprzedać. Które korporacje tam dotrą? Kto pierwszy? Szykuje się nowa gorączka złota na miarę technologicznej apokalipsy XXI wieku? Inkowie nie znali funkcji pieniądza. Cała ekonomia andyjska opierała się na systemie wzajemności. Istniał on na długo przed podbiciem Andów przez lud Inków. „Tam, gdzie w ofierze bogom składano ludzkie serca” (Grzegorz Wróblewski). En la selva no hay estrellas. „[Władca] chodził cały pokryty sproszkowanym złotem, tak swobodnie, jakby to była sproszkowana sól. Wydało mu się bowiem, że noszenie jakiegokolwiek innego stroju jest mniej piękne, a noszenie ozdób lub broni ze złota, wykutego młotkiem, stemplem lub w inny sposób, jest rzeczą wulgarną i pospolitą” – pisał w kronice El Carne-ro Juan Rodriguez Freyle.

„Oto jest dziadek, oto mistrz koralowych nasion: jego imię Xpiyacoc. A oto jest babka, szamanka, wróżbitka, która staje za innymi: jej imię Xmucane.

Niech zostanie znalezione, niech zostanie odkryte,
powiedz to, nasze ucho nastuchuje,
obyś mówił, obyś powiedział,
znajdź drewno do żłobienia i rzeźbienia
za sprawą budowniczego, rzeźbiarza”.

Król Artur nadal żyje w Avalonie. Podobno pogoda nad Wyspą się zmienia, ludzie przeskakują ogrodzenia i będą nadal nadchodzić. Czy ci się to podoba, czy nie. „I to jest w porządku, to tylko mój los / Nad tobą ptak / Wiesz, każdy z nas od czasu do czasu się boi” (John

Martyn). Kto znajduje prawdziwe złoto, ten milczy. Rozglądaj się uważnie. En la selva no hay estrellas.

„Jest cisza między nami.
Ona wszystko słyszy.
Zaplątani w całe sznury kroków,
musimy iść...
Odjęto nam usta...
Zresztą... nie ma na to słowa”.

sample/źródła/inspiracje/konteksty:

Nie ma gwiazd w dżungli (En la selva no hay estrellas), reż. Armando Robles Godoy, Peru, 1966.

Mark Fisher, *Ghosts of My Life: Writings on Depression, Hauntology and Lost Futures*, Winchester–London 2014.

Filip Kalinowski, *Niechciani, nielubiani. Warszawski rap lat 90.*, Wołowiec 2023.

Stefania Tatarówna, *Moralne podstawy ideologii polskiej*, Kraków 1937.

Frank Norris, *McTeague. A Norton Critical Edition*, W.W. Norton & Company, 1996.

Chciwość (Złoto), reż. Erich von Stroheim, USA, 1924.

Stalker, reż. Andriej Tarkowski, ZSRR, 1979.

Grzegorz Wróblewski, *Konie Nowej Hiszpanii, w: Noc w obozie Corteza*, Poznań 2007.

Popol Vuh. Księga Majów o początkach życia oraz chwale bogów i władców, oprac. Dennis Tedlock, przeł. Izabela Szybilska-Fiedorowicz, Gliwice 2007.

John Martyn, *Head and Heart*, z LP: *Bless the Weather*, 1971.

Erna Rosenstein, *We dwójkę, w: Spoza granic mowy*, Warszawa 1976.

skład i opracowanie graficzne	dominik pędziwol
okładka i layout	andrzej k. urbański
konwent	marcin czerwinski wacław mejbaum
	dominik pędziwol andrzej k. urbański
redaktor naczelny	marcin czerwinski
kontakt	marcin.czervo@gmail.com
wydawca	Fundacja Plaża i Ciemnia, Wrocław
ISSN	ISSN 3071-950X

